

Edward Derylak

PRZYBYLI ZNIKĄD

Pan, widzę, pstryka i pstryka. Pewnie przyjezdny, myślę sobie, miejscowy ani z okolicy by nie pstrykał. Podejdę bliżej i zapytam. Człowiek na stare lata jak dziecko – ciekawy wszystkiego; jakby się chciał dowiedzieć, czego nie zdążył za młodu. Nie, żeby czegoś konkretnego. Już nie ta głowa. Ale tego, co się dzieje dokoła: z przodu, za plecami, na prawo i lewo. Co jeszcze może zobaczyć, choć oczy już nie te, co dawniej. Jak patrzę tyle lat na różne rzeczy, na ludzi, zwierzęta, las, pole, to i one się zmęczą. Pan wybaczy moją ciekawość, ale... po co to? No, te zdjęcia. Mało to w miastach i gdzie indziej starych zamków, pałaców i innych. Mówi pan, że to ciekawe. Jednak, co prawda, to prawda – drugiej takiej chałupy we wsi pan by nie znalazł: pod gontem, długa i wąska jak, nie obrażając nikogo, jaka obora, wejście z obydwu stron, parę małych okienek.

Stańmy w cieniu. Ten upał kręci ludziom w głowach, dawno tak nie było, to i są nieprzyzwyczajone. Pod drzewem trudno wysiedzieć, a co dopiero na dachu – mówię o robotnikach. Co rusz schodzą po drabinie, korbą ciągną wodę ze studni i piją bez opamiętania (chce się pobyć w cieniu chociaż na długość blaszanego kubka i papierosa). Wodę wlewają do gardła jak do butelki. Widziałem. Teraz pewnie poszli do sklepu na piwo.

Pyta pan, kto mieszkał tutaj. Chętnie opowiem, jeśli ma pan czas i takie życzenie.

Sabina, właścicielka, jak pani się nosiła, choć mieszkała na wsi. Pola u niej tyle, co kot napłakał: dwa–trzy dni i po żniwach. Nie to, co inne – dwa, trzy tygodnie, dzień w dzień, od rana do wieczora. A może pan wiecieć, że wtedy to było lato, nie to, co teraz, raptem kilka gorących dni. Powietrze kruszało z gorąca, a roboty, że ho ho! Nieraz to się głowa buntowała: taki zamęt się robił... człowiek kołowaciał, że strony świata się myliły. Strużki potu pędziły po plecach jak wiosną z pagórków strumyki wody. Oczy piekły od kurzu i potu. Nie wiadomo od czego bardziej, bo jednego i drugiego było pod dostatkiem. Oj piekło wtedy. Zresztą, co ja będę mówił, pan miastowy, to i tak nie zrozumie. A może... może jaki dziennikarz? Tak mnie słucha i słucha, opisać zechce w gazecie... Ja tu gadam o gorącu, a miałem o kobiecie. Pan mnie hamuje, jak za bardzo w bok się zapędzę.

Do sklepu z siatką chodziła, znaczy się, ta Sabina. Kupowała, gdy inni sami piekli, biały chleb, ryby w puszkach, żółty ser, kielbasę... – jak turysty z domków pod lasem. Wszystkiego po trochu, dla Stasia. Poza synem nie widziała świata. Może dlatego, że tylko jego miała, a on tylko ją. Ojca chłopaka a jej chłopca nikt tutaj nie widział. Byli tylko

we dwoje, żadnej rodziny. Inni zawsze tam kogoś mają: ojca, matkę, rodzeństwo, może szwagra, jakichś kuzynów, wie pan, jak jest; oni nikogusieńko. Nigdzie nie wyjeżdżali i do nich nikt nie przyjeżdżał. Święta, wesela, chrzciny... – jak to na wsi, tu i tam: ten tego zaprosi, tamten innego, a ich nikt.

Przed i we wojnę, gdzieś do połowy, w chałupie mieszkał Żyd, Bunim Szora; z jednej strony mieszkał, z drugiej knajpa była i sklep. Żyd to Żyd, nic do nich nie mam, starsze ludzie pamiętają, był dobry: babom nafty albo smalcu dał na borg, chłopom gorzałki, gwoździe, kawałek rzemyka albo czego innego. Tak było. Któregoś dnia raniem przyjechały szwabki i kazały się zabierać. Pół godziny, ni minuty więcej. Ludzie tyle czasu mieli na spakowanie dobytku. Wszystkiego nie zabierzesz człowieku na plecy, choćbyś nie wiem jak chciał. Potem chłopcy deskami zabiły okna i drzwi i tak to stało. Niedługo. Raz po raz ktoś nocą się włamywał. Szeptem mówiono, że jacyś leśni, ale, czy kto widział, czy tak się tylko wydawało? W nocy każdy diabeł jednak. Do końca wojny oprócz ścian nic w środku nie zostało. Ludzie nawet mówili: „po co tak stoi?”. Kiedyś na wiejskim zebraniu – jakiś ważny z powiatu przyjechał – ktoś zapytał: „dlaczego taka chałupa stoi i marnieje?”. „Państwowe – nic komu do tego”, fuknął zza stołu ten przyjezdny, ważny jakiś, spojrzął na komendanta, ten groźnie na salę i od razu cisza się zrobiła... i nikt już o nic nie pytał.

Potem ona przyjechała. Tylko z walizką. Dobrych parę lat po wojnie już było. Z takim małym chłopakiem. Skąd wiedziała, że chałupa wolna? Pod wieczór być musiało, bo i nikt nie widział. Dopiero z rana. Ludzie w pole, a ona na podwórzu, jakby nigdy nic. Baby ciekawe, dopytywały, a ona z uśmiechem mówiła, że ze wschodu – nic więcej. No a wschód, panie, może być bliski, choćby sąsiedni powiat, ale też i daleki... gdzie tylko stępy. Wschodu, zwłaszcza tego dalekiego, ludzie się nawet boją dopytywać o niego. Każdy w sobie coś nosi, czego nawet najbliższemu nie powie, a co dopiero innemu. Tak to już jest.

Z początku była obca. Z nikim nie pogadała, nawet z sąsiadką. Ale z czasem... z czasem z obcej stała się stąd, tutejsza; tylko te starsze ludzie pamiętały, że nietutejsza. Z każdym pogadała, lubiła się pośmiać, pożartować. Jak nikt inny – niczym się nie martwiła. Teraz myślę, że była to na swój sposób mądra kobieta. Ludzie „zabijali się” za wszystkim: a to dom postawić, oborę, to zasiać na czas, to wykopać... jak to na gospodarce, zawsze coś. W lecie kobiety goniły do lasu na jagody, a ona nic, jakby się lasu bała. Jeśli już poszła, to zbierała tylko na pierogi dla Stasia. Ale żeby na zarobek – to nie. Może i dobrze robiła. Na każdego kiedyś przyjdzie pora, jednego wcześniej, drugiego później... i trzeba się zabierać. Od tego człowiek się nie wykupi, nawet ten bogaty. A i niczego ze sobą nie zabierze. Tylko to, w co ubiorą. Jej już wszystko jedno, co teraz zrobią z tą chałupiną. Nikt z rodziny się nie zgłosił, to przejęła gmina. Wójt wynajął robotników. Rozbiorą to, załadują na samochód i wywiozą. Z tego drzewa nic

już nie będzie, zmurszałe do cna. W kupie jakoś się trzymało, a teraz...? Tylko ogień się nasyci i popiołu trochę zostanie.

Pyta pan, co z chłopakiem. Rósł jak miastowy, dobrze mu było. W polu go żeś nie zobaczył. Nawet krowy nie przypilnował na łące. Ona mu nie kazała, to i sam się nie garnął, do niczego. Wyrośnięty i gibki jak trzcina. Smagła cera, a proste i jak sadza czarne włosy spadały mu na czoło. Chodził do szkoły, czytał książki, gazety, grał w piłkę... Dobrze się uczył. Zdolny był; może po ojcu, bo po matce niby nie, chociaż kto to zbada, co ma drugi w głowie. W wakacje siedział nad rzeką od południa do wieczora, razem z tymi, co ze Śląska na kolonie przyjeżdżały. U nas powietrze dobre, nie to, co tam. Nikt by nie powiedział – ze wsi on czy z miasta: brązowy jak czekolada, nogi i ręce gładkie, niepodrapane jak u wiejskich dzieci. Latem chodził w krótkich portkach i bez koszuli. Wszystkie dzieci boso, a on w trampkach. A jak szedł... to jakby w nogach miał sprężyny: ugięcie i odbicie w górę, jakby skoczyć miał, raz – dwa, raz – dwa. Wie pan – nigdy się nie spieszył, bo i gdzie? do czego? Zawsze powoli, spokojnie; to się gdzie zatrzymał, popatrzył, pogadał z kim. Matka głosu na niego nie podniosła. Inne dzieci do krzyku przyzwyczajone, do klapsa, a te starsze to i do czego mocniejszego. Uśmiecha się pan. Że teraz niby inaczej chowa się dzieci, jak to mówią w telewizorze... nie... nie stresowo. Aaa... bezstresowo. Może i tak, ale czy to tak do końca dobrze? Wydaje mi się, że nie bardzo. Wie pan, dyscyplina, chociaż trochę, ale musi być. Bo inaczej, panie, będzie bezkrólewie. Gdy dziecko się rozwydrzy, to kiedy podrośnie – będzie z nim trudno sobie poradzić. Jak to mówią: młodą gałąź się nagnie, do samej ziemi nawet, starą, już zdrewniałą – to nie bardzo, się złamie. Dlatego kiedyś dzieci przyzwyczajają się do obowiązków od małego, małe bo małe, budziło się w lato i szły w pole albo za krowami. Nie było wylegiwania się, bo liczyła się każda para rąk.

A Stasiu, bo o nim nie skończyłem panu opowiedzieć. Stasiu to co innego: spał, ile dusza zapagnęła. Matka nie zrywała go z łóżka; jeśli gdzie wychodziła, to na talerzyku zostawiała kanapki – czego tam nie było: plasterek kiełbaski, rzodkiewki, szczypiorek, sałatka... – a kakałko stawiała na kuchni, żeby nie wystygło. Wiem, bo sama mówiła; przychodziła nieraz do mojej wymienić biały chleb na czarny. Stasiu chciał razowca, takiego prawdziwego. Dobry był ten chleb, nie to, co kupny. Dałbym panu spróbować, ale za późno – pieca już nie ma, a i piec nie ma dla kogo. Młode wolą w sklepie kupować. Piekarnia na miejscu, to zawsze dowiozą i w sklepie nie brakuje. Kiedyś w domu się piekło, nie inaczej, to i dzieciom mógł się opatrzyć ten ciemny – wołały biały. Stąd też i lubiły te zamiany. Z moim najstarszym chłopakiem, Józkiem, Staś chodził do szkoły. Nawet w jednej ławce siedzieli. Mieszkam tu przez drogę. O, widać ścianę domu, tam za orzechem, starym orzechem, pamiętam, mały knypek byłem, a już wtedy był prawie taki jak teraz, tylko że cieńszy. Tam za rogiem chałupy stał kiosk Ruchu, taka budka oszklona dokoła. Blisko miał. Kupował „Świerszczyk” i „Płomyczek”, siadał na tej ławce

przy pobielonej ścianie i czytał. Gdy słońce mocno mu dopiekło, to uciekał w cień – pod tego włoskiego orzecha. Mało już go zostało, spróchniał od środka, wysechł i się pochylił, może się złamie, i przygarbił się, jak człowiek na stare lata. I Staś czytał te swoje książki, przynosił z biblioteki i czytał, i gazety też, i moczył się w rzece. To były jego zajęcia w wakacje.

Biblioteka w domu Janka Mazura była. Otwarta dwa razy w tygodniu, we wtorki i czwartki chyba, a może piątki, nie pamiętam. Latem chodziła tam dzieciarnia i młodzież. Dorośli dopiero zimą. Ja sam trochę czytałem, głównie wojenne, o partyzantach. Stasiu wstępował po mojego, ten zabierał swoje i szli wymieniać. Ile to razy mojemu krowy weszły w szkodę, gdy się zaczytał. Garnął się do tego czytania, bo te starsze, dwóch nicponi jeszcze było w chałupie, już nie. Co to jest w tych książkach, że jednych trudno od nich oderwać, a innych – i pasem nie nagonisz.

Ooo, robotniki wracają. Jak pan chcesz, to jeszcze pstryknij sobie, bo potem może nie pozwolą. Nie każdy chce być na zdjęciu, zwłaszcza w gazecie jakiej. Nie wiadomo, co pan tam napisze. Uśmiecha się pan i mówi, że dobrze. Zależy dla kogo. Dla pana dobrze, a dla nich może nie. Ludzie nie zawsze wierzą obcym. Popatrz pan, do wieczora zdejną gont, jutro krokwie, a pojutrze zabiorą się do ścian. Zajmie im to ze dwa dni. Potem przyjedzie star z przyczepą, kilka kursów i po wszystkim. Uwiną się z tym – góra w cztery dni. Nim minie tydzień, w tym miejscu będzie tylko łącha piachu i walające się resztki na obrzeżu zielonej murawy. Potem zima zaciągnie śniegiem, wiosną nowa trawa wyrośnie, a za kilka lat tylko starsi będą pamiętać, kto tutaj mieszkał.

Wie pan, jakie u nas kiedyś były zimy? Trudno się przebić sańmi przez wieś było, a zaspy ponad płotami. Okna zamarznęte, że światła nie widać, dopiero jak się roz-paliło, ogrzało trochę, to strugi wody jak baty wiły się po szybkach w dół, po ścianie, dopóki pod wieczór mróz je nie ucapił swymi pazurami. Sabina ze Stasiem w jednej izbie mieszkały, tej mniejszej, większą wypełniały same rupiecie. Z drugiej strony, od zachodu, gees miał dwa sklepy. Zimą w tej izdebce zbierali się koledzy Stasia, grali w karty, popalali papierosy, opowiadali różne rzeczy. Jego matka pośród nich jak koleżanka. Musi pan wiedzieć, że ciasnota tam była aż strach. Jedno pomieszczenie tylko; w nim piec, nawet nie kaflowy, tylko z cegły, pobielony, łóżko, stół, ze trzy składane krzesła, jakaś szafka, półka z książkami, taboret. A jak jeszcze przyszło z kilku chłopaczyszków! Skąd to wszystko wiem? Ano czasami trzeba było zawołać swojego, gdy nie przychodził, jak szliśmy spać. Wtedy się stanęło pod oknem – malutkie, listwami w poprzek i wzdłuż podzielone na szybki – ciekawość, co tam robią, kazała podsłuchać. W co grali? We wszystko grali: w tysiąca, oczko, w pokera; na drobne, dziesięcio-, dwudziestogroszówki, nie więcej, ale rozumie pan, taki młody szybko się wciągnie, a potem...? Ten nałóg gorszy niż papierosy. Palący pan? Może by tak po jednym? Lepiej się gada. Palę od małego. Ojca lanie nawet nie pomogło. Józik też tutaj popalał. Moja zawsze go wyczuła, kiedy przyszedł. Dupę mu sprąłem i na jakiś czas pomogło. Potem

znowu to samo. Uparty był. Tak mu już zostało do dziś. Pan wie, bez twardej ręki ojca nic z chłopaka nie wyrośnie; jeszcze na wsi! A pana ojciec bił? Ach, nie pamięta pan ojca. A i po co mi wiedzieć. Z butami w czyją duszę włożyć. Pan i bez ojca wyszedł na ludzi – kształcony, dziennikarz. Trzeba być mądrym, żeby pisać w gazetach. Codziennie coś nowego. Skąd tu wziąć zawsze co nowego. Pan to wszystko napisze? A zechce kto czytać? Mówi pan, że tak.

Chłopak rozpuszczony był przez matkę. W szkole powszechnej szło mu dobrze – zdolny był, jak mówiłem. Ale potem poszedł do szkoły leśnej – śladem dziadka (ona mówiła, że jej ojciec był leśniczym). W tej drugiej szkole nie było już tak dobrze. Jak po wakacjach, po pierwszym roku, kręcił się przy domu przez kilka kolejnych dni – tutaj wypatrzą wszystko, nic się nie ukryje – ludzie zaczęli przebąkiwać, że Stasiutek został wyrzucony ze szkoły. Złośliwcy – nigdzie ich nie brakuje – tak na niego mówili: „Stasiutek”. Może i cieszyli się. Niektórym solą w oku było, że nic nie robi, tylko zbija bąki, i w dodatku zdolny jeszcze. Matka wcześniej rozповідаła, z taką wyższością, że jej Stasiu rękami pracował nie będzie. Głowę ma od tego. To się nie podobało ludziom. I nagle masz! powinęła się noga. Po roku poszedł do ogólniaka, do wieczorówki. W mig wiedzieli wszyscy. Zaraz też znalazł jakąś robotę w mieście. Podobno gmina pomogła. Do południa był w tej robocie, a potem w szkole. Od jesieni do wiosny, noc go z domu wyganiała, noc też przyganiała – tak się u nas mówi. Ale nie było im źle. Żyli sobie z matką jak dwa „pączki w maśle”. Ona miała jakąś tam rencinę, może alimenty, a on niewielką pensyjkę. Wiadomo: przekładanie papierków wte i wewte – żadna robota, to i zapłata żadna. Co innego na budowie albo w hucie, inne pieniądze, ale do takiej roboty Stasiu się nie nadawał. Nawet wojska nie odsłużył. Z jego rocznika, tak się jakoś złożyło, chłopaki szły po kolei, a on nie. Na drugi rok też nie, i na trzeci... Potem to pewnie już o nim i zapomnieli.

Może pan się spieszy? Ach nie, na urlopie. Ciekawy pan, co dalej? Jeszcze trochę i skończę. Miał już dwadzieścia parę lat. To taki wiek, w którym kawalerka ugania się za żeniączką; z dziewczynami na festynie, nad rzeką, wieczorem na ławce, a jeszcze lepiej w nocy – nikt nie widzi. Wie pan, jak to jest. A on nic. Nikt go we wsi z żadną panną nie widział. Stronił też od zabaw. Grali w soboty i niedziele – u nas i w okolicy. Innym chłopakom mało było u siebie, jeździli na drugą i trzecią wioskę albo i gdzie dalej jeszcze.

Remiza strażacka w środku wsi, to słychać było na końcu i na początku. Ciągnęły tam młode i stare. Sam też czasami chodziłem popatrzeć i piwo wypić. Zawsze to smakuje inaczej, choć niby takie samo; ale to już nie moja muzyka i nie moje tańce. Widziałem go nieraz. Skradał się do remizy ukradkiem, z bojaźnią, jakby się bał, że naraz diabeł wyskoczy i go porwie; najpierw powstał przy płocie, potem na placu przed wejściem, jakby się zastanawiał: iść – nie iść. Widocznie częściej wypadało na „iść”, bo potem stał przy bufecie ze szklanką piwa. Najczęściej sam pośród gawiedzi. Czasami pogadał

z tym albo z tamtym, orkiestra w międzyczasie „rozkręciła” się na dobre, chłopaki nabrały odwagi i przez drzwi z biletami wciskały się na salę. Wie pan, żeby wejść na oświetloną salę, gdzie po jednej stronie chłopaki, po drugiej dziewczyny... a jeszcze porwać którąś do tańca... trzeba było odwagi. Ale jego tam nie ciągnęło. Zamroczył się trochę i wracał do domu.

Gdyby znalazł sobie jakąś, myślę o pannie, może jeszcze z domem, choć niekoniecznie, żyłby jak człowiek, młody przecież, a on – jakby się bał. W końcu stało się to, co stać się musiało. Zimą, jak ten stan wojenny był, zabralo ją pogotowie. Kiepsko pewnie było, bo „na syrenie” przyjechali. Wynieśli ją na noszach i... już nie wróciła. Trzask prask i po wszystkim. Dla niej może i dobrze, ale nie dla niego. Zgasła jak zdmuchnięta świeczka, a on został samiusieńki jak palec: żadnej rodziny, nawet tej dalszej, jak się to mówi, „po kisielu”, ani kolegów, takich bliższych, do których można by pójść, pogadać, obejrzeć telewizję – nikogo. A ludzie jak to ludzie: poużalać się nad kim: „sierota...”, „biedny...”, „sam się ostał...” to tak, ale żeby w czym pomóc... – nikogo nie było. Kilka nocy spał, jadł i mieszkał u nas. Dobrze, że tam, gdzie pracował, były uczynne ludzie i pomogli. Pozalać to i tamto – ubranie, wieńce, różne kwity... i takie tam, jak to przy pogrzebie. Sam nie wiadomo, jakby sobie poradził. Niczego nienauczony, nie wiedziałby co, gdzie i jak. Mówi pan, że gdyby musiał, to by sobie i poradził. Czy ja wiem? Pan go nie znał. A teraz już się i tak nie dowiemy, który z nas miałby rację. Co by to zresztą dało? – nic, ani jemu, ani nam.

Na cmentarzu były dwie obce osoby. Mężczyzna, taki starszy, mówili, że to jej brat – Cesiek. Wspominała o nim czasem, ale nikt go tutaj nie widział, to i nie bardzo kto wierzył w to jej gadanie. Teraz szeptem przekazywali sobie z ust do ust jego imię i pokazywali palcami. Po prawej stała młoda kobieta, pewnie córka. Staszek obok niej. Ot i cała rodzina. Co niektórzy przebąkiwali, że Cesiek – jeśli rzeczywiście on to był – zabierze siostrzeńca ze sobą, bo niby z kim miałby zostać. Co prawda, to nie dziecko, tylko chłop po trzydziestce, ale wiadomo: chłop to chłop... – mało który sam sobie poradzi. Pranie, gotowanie, sprzątanie... Na wsi, za przeproszeniem szanownego pana, to wszystko babskie roboty. Podobno w mieście jest inaczej. Zresztą pan wie najlepiej, co ja tu będę zgadywał. Baby strzępiły sobie języki, w czasie jak ksiądz odprawiał; jedne mówiły, że go zabierze, drugie, że pewnie nie, a inne, że może w tym mieście zostanie, w jakim hotelu robotniczym. Bo tutaj nie było w czym mieszkać!

Ludzie rozeszli się, gdy było już po wszystkim. Oni we trójkę jeszcze zostali. Gadali może z pół godziny, albo i nie. Widziałem potem z podwórza, jak tamci do autobusu szli. Przystanek był w tym miejscu, co i dzisiaj. O, widzi pan ten słupek z tabliczką naprzeciw piętrowego czerwonego domu? Gmina zrobiła nowy chodnik i zatoczkę dla autobusu, z tego... jak to mówią... Ooo! tak, polbruku właśnie; gdy mnie pan zapyta za godzinę, znowu nie będę wiedział. Przyjechał czerwony autobus, oni wsiedli, a Staszek wrócił do zimnej, pustej izdebki.

Zimą dzień krótki, ledwo się rozpędzi koło południa i już musi hamować, ściemnia się koło szesnastej. Wraciał chłopak z tego miasta, to czasami nawet do domu nie wstępował, jakby nie jego, przemknął obok i hop do knajpy. Tam zawsze kogo spotkał, pogadał. Wiadomo, jak to jest, gdy chłopcy spotykają się w knajpie: zaczyna się niewinnie, od jednego piwa, potem drugie, co to jedno, tyle, żeby gardło przepłukać, ktoś zaproponuje pięćdziesiątkę albo setkę, drugi nie gorszy, się zrewanżuje. I tak leci jedno po drugim. Drzwi się tylko otwierają i zamykają...

Staszek do domu miał niedaleko, na rzut beretem. Że on z knajpy wraca, pan by się nie domyślił. Smarował skrajem drogi, wyprostowany; potem środkiem podwórza, jak to on, na ugiętych nogach, prosto do swoich drzwi. Zdejmował haczyk – takie miał zamknięcie – zakładał go z drugiej strony i pewnie w tym, co rano na siebie włożył, zwał na łóżko. Jesienią to jeszcze można wytrzymać, ale zimą...? W piecu niepalone, w ścianach szpary na grubość dłoni, okienko zalodzone. Komu w takiej lodowni chciałoby się ubierać w tę piżamę, jak to miastowe. Jeszcze człowiek dobrze głowy do poduszki nie przyłoży, a już wstawać trzeba. Częstym gościem był w knajpie. Przedtem to nie, dopiero wtedy, jak matki brakło. Pewnie łatwiej jest zapomnieć. Krótko, bo krótko, ale zawsze to coś. Myślę tak sobie, wie pan, że myśli mogą człowieka zabić. Nie tak wprost jak z pistoletu czy jakim kamieniem albo dylem, ale zabić mogą; wystarczy dać im grunt sprzyjający. A u niego taki był: czasu po uszy, albo i powyżej, po czubek głowy, a obowiązków co ksiądz kropidłem. Zresztą człowiek w drugim nie siedzi, w jego głowie, to nie wie, jak było naprawdę. Nie mnie też go sądzić. A wiadomo to, co ja czy inny robiliby na jego miejscu?

Schadzek w domu już nie było od dawna. Tamci koledzy żonate i dzieciate, oprócz jednego, który dotrzymywał mu jeszcze towarzystwa – Tyczy. Tak go nazywali, bo drugiego tak wielkiego we wsi nie było. Po imieniu czy nazwisku nikt się do niego nie odezwał – tylko Tycza. Wpadał do Stacha od przypadku do przypadku, jak się zdarzało, że był kontaktowy, znaczy się trzeźwy. We wsi, gdy chłop się w swoim czasie nie ożeni, to albo pijak, albo skąpy. I tak źle, i tak niedobrze. Jak choćby ten Tycza – młody i na zmarnowanie poszedł. Od rana do wieczora trzymał się knajpy jak dziecko spódnicy matki. Wiedział, co kto ma do sprzedania, kto co chce kupić. Człowiek interesu – mawiał o sobie, gdy kto pytał, czym się zajmuje. Znali go i z sąsiednich wiosek dokoła, jak i z sąsiednich tych sąsiednich. Dzień targowy, czwartek – jego żywioł. Wszędzie go pełno: na buchcie, przy knajpie, koło sklepów. On wiedział, kto ma co do sprzedania. Jedni przyjeżdżali sprzedać świnkę, cielaka, drudzy – kupić; nawet miastowi do nas zaglądali. Chcieli prosto od chłopca, zanim ten załaduje do klatki i odstawi na buchtę – i szybciej, i taniej. Ale ja znowu na środek wypływam, a pan miał pilnować, żeby blisko brzegu.

Ludzie zaczęli mówić, kręcąc głowami, że to już nie ten Stasio, duże wychuchane dziecko. Pewnie, że nie ten sam. Musi się wziąć w garść i jakoś żyć, myślałem. Wie pan,

latem to jakoś odbił się od tej knajpy. Ale zimą wszystko znowu wróciło. Nastaly duże mrozy, ludzie myśleli, że zamarznie. Srebrne liście tygodniami nie schodziły z szyb, a zobaczyć dym z komina jego domu, było rzadką okazją i nie każdemu się udawało. I wtedy ktoś się zlitował i zgłosił do gminy. Chcieli mu dać mieszkanie, w bloku, w mieście. Drugi to by wójta po rękach całował, a on powiedział, że się nie przeprowadzi. Kiedy załatwili formalności, była już wiosna, może dlatego nie chciał. Co to było! Prosił go. Przekonywali. Urzędniki nawet do domu przychodzili... A on nic. Nie, i nie. Tutaj jest jego miejsce i nigdzie stąd się nie ruszy. Chyba że milicja weźmie go siłą – tak im powiedział. Uparł się i już. No i został.

Potrzebował kilku lat. Gęba mu się zaokrągliła, zbrązowiła, dostał brzucha... Tylko, że ta jego tęgość była taka sztuczna. Rzec można: nalana. Okazało się, że jest chory, bardzo chory. Wiedział pewnie, że z nim już źle. Nawet do doktorów nie jeździł. Kolejną zimę jakoś przetrzymał. Wydawało się, że z wiosną się mu poprawi.

Kiedyś przy sklepie opowiadali, jak było już po wszystkim, że z Tyczą pił piwo i miał powiedzieć, że jego dni są policzone. „Co ty pieprzysz?! – ten mu na to – będziesz żył i żył, aż do śmierci”. Mówią, że czasami ludzie czują, gdy przychodzi koniec. Może i Stach coś przeczuwał. Prosił go (wtedy przy sklepie), żeby następnego dnia zajrzał do niego. I ten pamiętał. Poszedł z samego rana. I nic. Przypominał mu jeszcze ze dwa razy, ale Tycza już nie pamiętał. Nikt ze wsi też nie pomyślał, dopiero tamte w robocie, gdy nie pojawił się przez dwa, może trzy dni. Wysłali kogoś. Na miejscu powołali komisję: oni, milicjant i ktoś z gminy. Potem już tylko zawołali doktora, by kwitek wypisał. I po chłopie!

Co to wszystko warte?! – te domy, samochody, pieniądze... Przyjedzie pan za rok, to zobaczy. W tym miejscu będzie tylko murawa, a dom, ludzie z niego – już tylko w pamięci, mojej i paru jeszcze innych.

Sierpień 2006 – listopad 2016